



# Perwersyjne efekty automatycznego uznawania stopni naukowych w UE <sup>1</sup>

EWA ŁĘTOWSKA

Prawo europejskie na dużą skalę, w różny sposób, promuje zjawisko naczyń połączonych. Robi to poprzez procedury certyfikacyjne dopuszczające towary i usługi na „rynek europejski”. Certyfikat bezpieczeństwa towaru czy zgodności z jakimś wzorcem wydany przez właściwe władze jednego z państw Unii Europejskiej jest „ważny” w obrębie całej Wspólnoty. Ten system, będący pochodną ogólniejszych zasad – zakładając, że swobodny przepływ towarów, kapitału, pracowników wymaga niestwarzania przeszkód tej cyrkulacji – dobrze służy wolności przepływu, natomiast Unii pozwala na stworzenie wspólnego rynku i umiędzynarodowienie obrotu. Tyle że ma to jedną wadę. Otóż założenie, że w każdym z krajów Unii – jako kraju demokratycznym – jakościowy poziom certyfikacji powinien być identyczny – jest idealizacyjną fikcją.

Każdy nabywca chce otrzymywać lepsze jakościowo świadczenia, jednak gdy sam jest sprzedawcą albo usługodawcą muszącym uzyskiwać certyfikacje, to pójdzie tam, gdzie łatwiej je osiągnąć, a umowy postara się zawierać w tym kraju Unii, który najslabiej chroni konsumenta. Wyrównanie poziomu w naczyniach połączonych zawsze odbywa się kosztem naczyń pełniejszych. Zjawisko to, doskonale znane na tle prawa konsumenckiego, UE nosi nazwę *race to bottom* i jest odmianą prawa Greshama, odniesionego do innej sfery stosunków niż obieg pieniądza kruszcowego.

Przed kilkoma laty byłam recenzentką przy nostryfikacji dyplomu doktorskiego uzyskanego na jednym z – skądinąd niezłych – niemieckich uniwersytetów. Ówczesne przepisy polskie wymagały procedury nostryfikacyjnej z naturalnymi u nas recenzjami, choć umowy dwustronne z Niemcami zakładały równoważność stopnia. Tak więc – pozornie – ta nostryfikacja w ogóle nie była potrzebna, skoro jej wynik, niezależnie od opinii recenzenta, był i tak pozytywnie przesądzony, jako że stopień był równoważny dzięki wspomnianej umowie międzynarodowej.

Sarkałam na tę – jak mi się wówczas wydawało – zbędną formalność. A jednak nie całkiem miałam rację. Oceniana praca nie odpowiadała standardom doktoratu. I choć z racji wspomnianej umowy międzynarodowej stopień musiał być ostatecznie uznany, to przecież przeprowadzenie nostryfikacji dawało recenzentowi (i radzie naukowej, przed którą nostryfikację prowadzono) możliwość wyrażenia negatywnej oceny, a przez to kształtowania opinii środowiskowej, a nawet zawiadomienia o dostrzeżeniu, że uniwersytet, który przyznał stopień marnej pracy, prowadzi praktykę polegającą na zaniżaniu poziomu (*race to bottom*). Zatem nostryfikacja – nawet jeśli musiała kończyć się wymuszoną deklaracją równoważności stopnia – umożliwiała instytucjonalne kształtowanie oceny środowisk naukowych i krytykę uniwersytetów zaniżających poziom.



<sup>1</sup> Tekst oparto na felietonie autorki, opublikowanym w majowym (2012) wydaniu „Gazety Prawnej” (EŁ).

Obecnie zniesiono obowiązek nostryfikacji dla stopni naukowych zdobytych na terenie Unii i wszystkie dyplomy unijne są już automatycznie traktowane z urzędu jako równoważne.

Z punktu widzenia prawnych skutków właściwie niewiele się zmieniło (skoro dawniej podobna równoważność wynikała z umów dwustronnych, o czym pisałam wyżej). Co więcej, niektórzy dostrzegają tu zbawienne uproszczenie prawa i „umiędzynarodowienie” nauki. Tym sposobem jednak zerwano więź między opinią środowiskową a uznawaniem stopnia. Oczywiście opinia społeczna, renoma, nadal będzie się spontanicznie kształtowała, tyle że utraciły one miejsce i czas (etap nostryfikacji), w którym niejako nieuchronnie mogły się spotkać i wokół czegoś ukształtować. W konsekwencji rządziej, wolniej i co gorsza przypadkowo dojdzie do ukształtowania się i rozpowszechnienia społecznej oceny rzetelności certyfikacji stopni naukowych. Jeżeli zatem owa ocena miała być gwarancją „trzymania poziomu”, to obecnie, przy automatycznym uznawaniu certyfikatu naukowego, gwarancji tej brak.

Wykluczając gwarancyjne przeciwdziałanie nacisku społecznego, można przewidzieć skutek: to po prostu wyścig ku dołowi (*race to bottom*). Wyrzucono instytucjonalną gwarancję – oddziaływanie *imperio rationis*. Zniesienie certyfikacji, jej upraszczanie, jest immanentnie związane z tym zjawiskiem. Oczywiście niewidzialna ręka rynku działa, tyle że wolno i przypadkowo. Problem dostrzegają nawet zwolennicy upraszczania i umiędzynarodawiania dyplomów. Starają się wprowadzić ujednolicenie mechanizmu uzyskania stopni naukowych, a wysiłki umożliwiające „ekwiwalencję porównawczą” przybierają postać dzielenia kształcenia (uzyskiwania stopni) na poszczególne etapy oraz parametryzowane i punktowane procedury.

Ale tu czyha inne zagrożenie. Następuje bowiem autonomizacja poszczególnych wyodrębnianych etapów i formalizacja ocen. W efekcie w pracy magisterskiej czy doktorskiej już nie idzie o to, aby umieć postawić samodzielnie zagadnienie badawcze, a następnie je obronić we właściwy sposób. Ten cel znika, został bowiem zastąpiony pokonywaniem kolejnych szczebli, które są oddzielnie rozliczane i oceniane jako pojedyncze, oddzielne etapy do pokonania. Tak więc to, co miało być lekarstwem na chorobę, pogłębia deficyt aksjologii. Ważny przestaje być efekt (nabranie odpowiedniej wiedzy i umiejętności), kluczowe staje się formalne przejście („zaliczenie” i „rozliczenie”) poszczególnych etapów i procedur, ich „sprawozdanie” oraz zebranie niezbędnej liczby punktów.

Maleje przez to znaczenie i potrzeba wykorzystania – jako czynnika kontroli – wrażliwości aksjologicznej środowiska naukowego i jego przedstawicieli występujących w charakterze recenzentów. Uzyskiwanie stopni naukowych jest w tej sytuacji poddawane ocenom przede wszystkim z punktu widzenia formalnego legalizmu procedur. Umyka zaś sama możliwość oceny z punktu widzenia aksjologicznego celu uzyskania stopnia. Jest to sytuacja niebezpieczna dla etyki nauki, ponieważ wyznacza jej miejsce w sferze prywatnej, ograniczając tym samym wpływ na sferę publiczną. Osłabia znaczenie w dyskursie publicznym głosu aksjologicznie zorientowanej jednostki, dbającej o opinię środowiska. I dzieje się to tam, gdzie ów głos i dyskurs są gwarancją wywarcia presji (w pożądanym aksjologicznie kierunku) na nazbyt

formalistycznie, schematyzacyjnie nastawione prawo i niewarte w nim procedury. Bo wypracowanie opinii, że uniwersytet X w państwie Y promuje (skądinąd za unijne pieniądze) marnych doktorów, jest stosunkowo szybkie w wypadku nostryfikacji. Gdy takiego forum brak, „naturalne” wyrobienie opinii jest – o czym już wspominałam – dłuższe, trudniejsze, bardziej przypadkowe.

Taka sytuacja stanowi jednocześnie zagrożenie dla prawa jako takiego, gdyż legitymizuje niebezpieczną tendencję, tj. zerwanie w nim związku między regulacją i aksjologią. Bo chociaż „od zawsze” powtarza się, że prawo stanowione powinno przynajmniej w pewnym stopniu być aksjologią nasycone, to współczesna kazuistyka prawa, proceduralizacja, uczynienie go instrumentem standaryzacji w najrozmaitszych postaciach, akcentują formalną zgodność z wzorcem jako podstawą do uznania, że „wszystko jest w porządku”. Przy okazji uspokaja to sumienia prawników, mimo że cel tych wszystkich procedur i parametryzacji jakościowo pozostaje niespełniony. Z tego, że istnieje prawny obowiązek traktowania czegoś jako równoważne, bynajmniej nie wynika, że to coś rzeczywiście jest równoważne.

Opisana formalizacja prawa, wypychanie zeń aksjologii pod hasłem uproszczenia, przyspieszenia i potaniaenia regulowanych nim procesów, dotyczy nie tylko problemu certyfikacji stopni naukowych. Modne hasła deregulacji dostępu, *outsourcingu*, standaryzacji, pod którymi odbywają się dziś różne reformy ekonomiczne wykorzystujące prawo, kryją za sobą takie właśnie pułapki. Reformatorzy, zmęczeni oporem przeciwników, skłonni są przedstawiać nam wyłącznie w różowych barwach efekty własnych wysiłków. Dlatego jakoś wstydliwie przemilcza się istnienie *race to bottom* jako efektu poszukiwania miejsca, gdzie uzyskanie upragnionego certyfikatu uwolnione jest od zbyt wygórowanych wymagań. Przemilcza się ciemne skutki formalizacji i „obiektywizacji” pokawałkowanego systemu prawa, gdzie ocenę merytoryczną zastępuje się automatyzmem – jest tyle i tyle punktów, to taki i taki etap zaliczony. Odpowiedzi mieszczą się w kratkach schematów, tak więc wszystko jest super. Wypracowanie maturalne też jest świetne, tylko dlatego że pojawiły się przewidziane w kluczu dla tego tematu słowa i zwroty, etc. Tymczasem nie ma darmowych obiadów – reform bez skutków ubocznych, prawa bez efektów perwersyjnych. Ich przewidywanie, wykrywanie, opisywanie i neutralizowanie powinno być obligatoryjną częścią każdej reformy i jej prawnego oprzyrządowania. Nie pamiętamy także (nie chcemy pamiętać?, a może nie umiemy zająć się sprawą?), że implementacja prawa europejskiego nie polega tylko (jak się u nas sądzi) na mechanicznym „przepisaniu” tego, co w prawie unijnym, do własnego systemu prawa, ale t a k ż e na wprowadzeniu w tym wewnętrznym systemie bezpieczników niwelujących perwersyjne skutki europeizacji. I prawo europejskie na to oczywiście zezwala, pod warunkiem, aby sam cel ujednolicenia nie ucierpiał.

EWA ŁĘTOWSKA

Autorka jest profesorem doktorem habilitowanym nauk prawnych, członkiem Polskiej Akademii Umiejętności, była sędzią Trybunału Konstytucyjnego w latach 2002–2011. (Red.)